Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 48. Poznań, dnia 30. Listopada. 1840.

Literatura zagraniczna.

BÖRNE.

1) Heinrich Heine über Ludwig Börne. (Hamburg 1840.)
2) Börne's Leben von Carl Gutzkow. (Hamburg 1840.)

Są ludzie, którzy pełném uczucia sercem pojmują tylko jedną myśl, jedno uczucie, uczucie zobopolnéj miłości, uczucie miłości dla bliźniego, koncentrujące się w miłości dla ludzkości i zasad, jakich pierwszy ich poprzednik i wzór, boski Chrystus, nauczał. Ludzie ci często odepchnięci i niepoznani przez tych, których z największém poświęceniem siebie kochali; mają jedną tylko nadzieję, nadzieję, że zasady ich wyścigające czas obecny, przejmą dzieci przyszłości i że ziarno przez nich zasiane, z postępem czasu wyda kwiat bujny. — Tyle lat trzeba było, aby nauka Chrystusa przyjętą została — tyle lat będzie jeszcze potrzeba, aby w swéj całéj wzniosłości, wzniosłości Chrystusowéj została poznaną, przez tych, którzy się mianują jéj wyznawcami, a przecie nie pomną, że nie na formie, ale na idei miłości ludzkości opiera się ta nauka; którzy chodząc do kościołów, lub budując złote ołtarze, sądzą, że przed duchem czasu na ziemi, a przed najwyższą istotą na lepszym świecie odpowiedzą za ucisk biednego chłopka, nie wiedząc, że miliony, które na kościoł ś. Piotra w Rzymie wydano, nie warte w oczach najwyższego, jednéj mogącéj być wylanéj łzy nieszczęśliwego, słowem, którzy nie wiedzą, że nauka Chrystusa dla tego tak boska, że na równości i zobopolném braterstwie jest opartą.

Pewien znany pisarz powiedział, że gdyby Chrystus dziś jeszcze raz na świat przyszedł, wyśmiano i ukrzyżowanoby go jak dawniéj. Pomnąc, jak jeszcze przed kilku laty zasady postępu i ich wyznawcy wszędzie prześladowani byli — jak i do tych czas po największéj części czernione i wykrzywiane bywają te zasady, szczególniéj w krajach, gdzie pańszczyzna i poddaństwo u szlachty dawnéj daty nierozłącznémi są od nich samych, od ich egoizmu, jak ich wyznawców za rozbójników, za hajdamaków okrzyczano, chcących wydzierać własność majętnym i rozdzielać ją; przyznamy słuszność pisarzowi temu. Nie dziw więc, że w Niemczech, gdzie tylko powoli wszystko co nowe, niezwyczajne, pojęte bywa, Börne od pierwszych lat swéj młodości aż do grobu, niepoznany, spotwarzony i nienawidzony był, Börne, który wśród mężów swego narodu świeci na jasném niebie miłości ludzkości, ogniem pięknym, czystym, niepokalanym.

Trzy lata minęły, jak mały orszak przyjaciół, na cmentarzu père Lachaise rzucił ziemię na jego biedne rozdarte boleścią serce i na tę biedną głowę, w któréj mózg wypaliła myśl o dobro ogółu — trzy lata minęły, jak szanowny Raspail swą piękną mową uczcił godnie tego, który był tém w Niemczech, czém zacny Armand Carell we Francyi; a nikt dotąd nie dał nam charakterystyki życia jego. Teraz dopiero dwaj szermierze w literaturze młodych Niemiec występują i to równocześnie z biografią Börnego Heine i Gutzkow. Po Heinem, który już za życia Börnego był jednym z najzaciętszych choć skrytych nieprzyjaciół jego, można było spodziewać się, że dzieło napisane o Börnem, będzie przeciw Börnemu. Lecz kto tak myślał, miał jeszcze zdanie za dobre o pisarzu, który tak między autorami jest kobietą, jak Dudevant między autorkami mężczyzną. Heine czuł, że rzecz najświętsza, najświętsza zasada, wyśmiana, traci w motłochu (szczególniéj wyższych warstw towarzystwa) na całéj swéj piękności i wzniosłości. Życie Börnego tak było czyste, tak nieskażone, że z żadnéj strony zaczepić go nie było można. Wydrwić je dowcipnie, to było hasłem Heinego, hasłem godnym charakteru pisarza tego. Czytając dzieło Heinego o Börnem, mimowolnie przypominało nam się wzniosłe Dies irae, w Berlioza episode de la vie d'un artiste, gdy je duchy piekielne w tańcu trawestują; tak najszczytniejsze zasady Börnego są tam trawestowane.

Inaczéj charakter jego oddał nam Gutzków, lecz i to nie jest Börne — jest to Gutzkow a nie Börne. Lecz Gutzkow nie błaznuje uczuciami swémi jak Heine,

nie wpada raz w udaną sentymentalność, to znów w obrzydliwą kokieteryą, lecz mówi to co myśli prostémi, jaśnémi słowy, słowy serca, które bije dla tego, co szlachetne. Tylko zasady polityczne Gutzkowa, z różnorodnych pierwiastków złożone, są przyczyną, że Börne jego, jak wspomnieliśmy, nie jest Börnem. Zawsze jednak dzieło to jest jedynem dotąd, z którego jeżeli nie poznać, to przynajmniéj odgadnąć można charakter Börnego. — — — Zastanowimy się obszerniéj nad obudwoma dziełami, już i dla tego, iż dotąd w żadném z pism polskich, o mężu tym, który nasz naród po swoim największéj kochał, wspomnienia nie było. Kilka słów na wstępie dzieła jednego i drugiego powiedzianych, dadzą czytelnikom naszym najlepsze wyobrażenie o drwinkowym tonie, w jakim Heine, i o natchnionym, w jakim mówi o nim Gutzkow.

Było to, powiada Heine, w r. 1815 po N. Chr., gdy po raz pierwszy obiło się o me uszy, nazwisko Börne. Zabrał mnie wówczas ś. p. ojciec na jarmark frankfurtski, bym się w świecie rozpatrzył, bo to miało kształcić, jak on mówił. Tu przedstawił mi się widok osobliwy. W tak nazwanych budach widziałem woskowe figury, dzikie zwierzęta, cuda natury i sztuki. Pokazał mi też ojciec wszystkie wielkie składy chrześcian i żydów, w których sprzedają towary o 10 % niżéj ceny fabrycznéj, a gdzie przecie oszukują każdego. Pokazał mi jeszcze ratusz, w którym kupowano cesarzów niemieckich, 10% niżéj ceny fabrycznéj. Towar ten wyszedł z czasem zupełnie. Raz także zaprowadził mnie ojciec do czytelni jednéj △ czyli Π loży, gdzie często jadał i kawę pijał. Czytającemu gazetę szepnął mi razu jednego młody człowiek do ucha: »to jest ów doktor Börne, co to przeciw komediantom pisze.« W podobnym drwinkowatym stylu opisuje Heine ubiór Börnego i całe jego branie się. »Był on« są dalsze słowa Heinego, »krytykiem sceny teatralnéj, i wprawiał pióro na bohaterach teatru. Jak mój przyjaciel i kolega akademicki, D...., kiedyśmy w Bonn razem kolegiów słuchali, z czystéj passyi urzynania, ucinał każdemu psu lub kotowi, którego mógł dostać, ogon, my, gdy te biedne zwierzęta tak skumlały i miauczyły, mieliśmy to za złe, późniéj przecie z serca wybaczyliśmy mu, gdyż ta chęć urzynania największym go Niemiec operatorem zrobiła; tak i Börne zaprawiał się najprzód na komedyantach i t. d.«

Inaczéj zaczyna Gutzkow swe dzieło: „Nie masz« mówi on, »nic w świecie łatwiejszego, jak urodzić się z szanownych rodziców, odebrać porządne szkólne wychowanie, z przyzwoitością wszelką uczęszczać do szkół wyższych, ukończyć je i opuścić z zarozumieniem, w czarnym fraku jednemu po drugim z urzędników oddać wizyty, otrzymać szczęśliwie urząd, złożyć przysięgę wierności, być wiernym istotnie, wiernym księciu, wiernym zasadom przełożonych, wiernym duchowi w jakim nam pensyą ćwierćroczną z kassy rządowéj wypłacają, dotrwać w tym duchu lat 50, wznieść się do rzeczywistego radzcy stanu, nosić na piersi kilka orderów, a w otoczeniu synów i wnuków opuścić nakoniec mieszkanie ziemskie, zostawiając rzetelnie zebrany mająteczek. Ale to jeszcze mniejsza! Mogłeś przytém doprawdy nie jedną współobywatelom wyświadczyć usługę, mógłeś zasłużyć na medal w książęcéj mennicy na cześć twą bity. Mógłeś rezydencyą panującego ozdobić piękną aleą topolową, mógłeś postawić fontannę, najczystszą wodę dostarczającą dla miasta, mógłeś zakład rentowy urządzić, mógłeś znieść loteryą, wprowadzić lepszy zarząd do kassy oszczędności, według najnowszéj teoryi, mógłeś wznieść przemysł i rolnictwo wyznaczając nagrody za najlepszy len i najlepsze owoce; ulepszenie chowu koni, owiec, szkół, a nawet krajowéj biblioteki założenie, może twojem być dziełem, wszystko przez ciebie założone, ulepszone być mogło, a przecież życie twoje nie było niczém więcéj jak podmuchem wiatru przemijającego. Coś czynił, czynił twoj urząd, stanowisko obywatelskie i zwyczajna powinność: — takbyś i świat był mógł zdobyć, nie wstając z łóżka. Przez trzy dni po śmierci przy odgłosie dzwonów może cię opłakiwać kraj cały, a jednak mógłeś nieżyć — prawdziwie po ludzku. —

Żyć po ludzku? — O więcéj to jak być dobrym ojcem, szczęśliwym małżonkiem, wiernym poddanym żyć po ludzku jest to być aniołem zesłanym na ziemię, aby błąkając się w ciemności szukać — nie wiedzieć — gdzie brama prowadząca napowrót do utraconéj ojczyzny; żyć po ludzku nie jest to czuwać za dnia a śnić w nocy, ale przeciwnie za dnia śnić, a w nocy czuwać; żyć po ludzku jest to być nieszczęśliwym, niepoznanym, z najświętszéj wiary wydrwionym przez wszystko bluźniącą rzeczywistość echem niedołężności, wówczas, kiedy się szczytne i dumne myśli chciało rzucić w świat grzmiącym głosem, jest to być zawiedzionym i prześladowanym przez nieprzyjaciół, a co stokróć boleśniejsza, żałowanym uśmiechem litości przez przyjaciela i brata, który nie mógł nas pojąć. Jeden ze ściśnionémi ramiony prześlizga się w życia porządku, pokoju i korzyści, drugi widząc zło w naszém życiu stawia mu czoło, lecz dostaje się między koła tego ruchu, który chcial wstrzymać dla dobra ogółu; on wynajdywał scieszki, zakąty, tajniki życia, dokąd nie doszedł gwar życia po-

wszedniego, on myślał o zimie, gdy inni w lata jeszcze grzali się słońcu. W tém naraz pod stopą przyjaciela ludzkości łamie się jeden szczebel drabiny, po któréj on wejść chciał by przynieść boski owoc dla wszystkich. Gmin w śmiech uderza! On przemawia do nich mową pełną natchnienia, uczucia i poezyi — słowa jego jeden pojmie, drugi nie zrozumie, a trzeci wydrwi bluźnierczo. I jak piłkę rzucają serce jego, serce pełne błogich, najświętszych tajemnic — pod wielkie zamiary jego podsuwają brudny osobisty interes, środki ku osięgnieniu jego obrane w śmiesznym z celem stawiają kontraście, a z tego co szczytne i wzniosłe, zrobią — powszednie. Otóż to tak żyć, jest żyć po ludzku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Nauki przyrodzone.

Dla czego umiejętności przyrodzone winny być głównym przedmiotem wiedzy ludzkiéj?

Przez T. Mateckiego.

Ktokolwiek myślał, a to, co umyślił, dokładnie napisał, dobrał zapewne tych tylko wyrazów w oznaczonym porządku i związku, któreby myśl jego zupełnie wyrażały, bo ani dodać, ani ująć, czegokolwiek bądź myśli swojéj nie chciał, jako myśli zupełnie skończonéj. W takiém téż piśmie każdy wyraz zmierzać będzie do myśli powziętéj, będzie się innémi słowy każdy nią w swojém związku piętnował, a pismo samo będzie zarazem myślą, utrzymującą te, a nie inne wyrazy, ten a nie inny ich związek. Przecież pismo to dla nieświadomego a patrzącego na nie, chociaż każe się spodziewać jakiéjś pewnéj, oznaczonéj myśli, przedstawiać będzie same tylko zgłoski, znaki piśmienne; lecz myśl pisma tego będzie mu zupełną tajemnicą. — Chcąc więc jéj pomimo tego dociec, musi wprzódy poznać litery, musi się nauczyć składać je w wyrazy, musi wreszcie ich znaczenie odgadnąć, a dopiero pojmie ich związek, a z nim i myśl autora. — Kto zaś zgłosek pisma nie pozna, a jednak tworzy i myśl całą i pojedyncze wyrazy, ten zmyśla je, a mając geniusz po temu, tworzy nakoniec z nich powieść pełną dowcipu i logiki, zadziwia nią słuchających i czytających, ale bynajmniéj nie wykrywa myśli w piśmie zawartéj.

Któż się ze mną nie zgodzi, że wszystkie, a dotąd niezliczone ciała martwe z ciałami ożywionémi, pojedyńczo brane, są jakby literkami świata, że ich familie, rzędy, klassy, oddziały są natępném zlewaniem się zgłosek w wyrazy ziemia, słońce, gwiazdy, komety i t. d., których systemy odpowiadają jakby zdaniom pobocznym, nawiasowym, zależnym i jak je daléj nazwiemy, a dopiero tych wiecznie utrzymujący się związek w owym ogromnym świecie tworzy owo pismo, a zarazem ogólną, całą myśl twórcy?

Zwróciwszy zaś uwagę naszą na cały obszar wiedzy ludzkiéj dzisiejszéj, czyż nie przyznamy wszyscy razem, żeśmy jeszcze zgłosek świata nie poznali? Czyż więc raczéj nie powinniśmy w wiedzy naszéj dążyć wszystkiémi siłami do poznania zgłosek, wyrazów i t. d. prowadzących do odgadnienia należnego pisma, a nie silić się na próżno w wymyślaniu powieści, jakkolwiek bądź bystrością swoją zadziwiających?*) One bowiem opóźniają nas tylko w docieczeniu myśli prawdziwéj, to jest świata, a zarazem Boga; Boga zarazem mówię, bo myśl jego jest równie wielka, jak on wielki; bo wyrażeniem téj myśli równie doskonałém, jak on doskonały, jest świat, a wzajemny stósunek do siebie wszystkich utworów w świecie tak konieczny, jak go tylko doskonałość wyrażenia myśli doskonałéj wymagała; a pojedyńcze jestestwa i takież ciała martwe najwyraźniejszemi pierwociami, że już tak rzeknę pisma, czyli zgłoskami świata.

Ale zgłoski świata nie są to owe, słabą ręką człowieka na kamieniu wyryte, albo na czémkolwiek namalowane znaki nieme, lecz są znakami żywémi, same siebie wymawiającemi. Nie zostają też dla tego w wiecznym spoczynku, boby mniéj uwagę na siebie zwracały, ale ciągle się przemieniają i ustawicznym ruchem swoim i najmniéj ciekawe oko drażnią. A że, czém są, w każdéj chwili powiedzieć pragną i powiadają, bo takie ich przeznaczenie, a w powiedzeniu tém ani początku, ani środka, ani końca zataić nie mogą; dla tego poczynają się, rosną, do pewnéj sobie właściwéj doskonałości dochodzą i nareszcie giną, zostawując po sobie i z siebie wydając ciała inne sobie podobne, któreby tę samę koléj przebiegając, wiecznie całe znaczenie swoje, a nie czasowe, a tém samém częściowe tylko głosiły.

Wszystkie zaś razem dążą do jednego celu, do jednego (jako zgłoski) wyrazu, dla tego też koniecznie

*) Zbyt śmiało może wyraziłem się; lecz myślę, że każdy trudniący się filozofią, (ochłońmy tylko cokolwiek z nabytéj powagi!), nieraz, choć cichaczem tylko toż samo sobie pomyślił; jakkolwiek bowiem głęboko razem z Kantem, Schellingiem lub Heglem myślał, przecież oderwawszy się od nich i zstąpiwszy z krajin błogich na świat, na którym żyje, zapatrując się nań, jakim rzeczywiście jest, sumiennie powiedzieć musiał: »pomimo wszystkiego badania mego (nie pojmuję ani siebie, ani najlichszego stworzenia, ani świata, ani Boga.«

jedna w drugą przechodzi, a każda następna poprzednie w sobie mieści, aby w końcu brzmienie całego wyrazu wydaném zostało; tak jak koniecznie *c* w *h*, a zgłoski te w *rz* i następnie w *ą* i *szcz* przechodzić muszą, aby powstało brzmienie wyrazu chrząszcz.*) Ztąd też widzimy, że własności (wszystkie) ciał martwych pojawiają się i w roślinach, własności tych w zwierzętach, a ostatnich w człowieku**) tak, iż ten jest jakby ostatnią zgłoską, w którą się zlewa cały pojaw ziemski, i kończy brzmienie wyrazu, jaki w całym obszarze świata planecie Ziemi jest nadany. A że człowiek, oderwanie od reszty ziemskich utworów uważany, własności ich wszystkich w sobie łączy i powtarza, bo nie zaprzeczoną jest w nim własność ciał martwych, roślinnych i zwierzęcych prawie co do najmniejszych odcieniów, rzekłbym, że on właśnie jest tym wyrazem ziemskiego planety. Ztąd też pochodzi, że cała ziemia z utworami swémi jemu tylko służy, do jego tylko wyrobienia dąży; że wszystko, co jest na ziemi, jest konieczném dla niego, jak w brzmieniu wyrazu chrząszcz konieczném jest i *c* i *h* i *rz* i t. d.

Jak zaś zgłoski świata i ich coraz daléj do końca zmierzające zlewki (c, ch, chr, chrz, chrzą i t. d.) same siebie wymawiają, tak też i całe wyrazy wymawiać się same muszą, a wymawiając się, muszą całość swoję również dokładnie i żywo, jak i one, dać poznać, i ztąd też pochodzi, że i ludzie poczynają się, rosną, do pewnéj doskonałości dochodzą, a nareszcie giną, zostawując po sobie i z siebie wydając podobne sobie jestestwa, któreby tę samę koléj przebiegając całe znaczenie swe w każdéj chwili głosiły.*)

Znaczenie to człowieka przychodzi zarazem w nim do samowiedzy,**) bo naprzód w nim dopiero kończy się brzmienie wyrazu, a więc pewnego obrazu, który dopiero wiedzieć można (jak dopiero z całego brzmienia chrząszcz, a nie z c lub ch, chr, chrz, chrzą i t. d. wiedzieć możemy do wydania czego zbieg ten zgłosek zmierza); bo powtóre, obraz ten nie jest owym niemym, dłutem mistrza ziemskiego zrobionym, jak już nadmieniliśmy, ale żywym siebie przez się wymawiającym; a wiec po trzecie, wymawiając sam siebie, ponieważ tém samém coś dokonanego, a więc to, co można wiedzieć, wymawia, wie się téż, ma samowiedz siebie (sam wie siebie) a zarazem wszystkiego, co do wyrobienia jego wpływało. Jak zaś nie wiemy, do czego zmierza brzmienie *c*, bo przejść może n. p. w. car, w czart, do czego *ch* (cham, chuć, chart) i podobnie *chr* (chrap, chrost), *chrz* (chrzan, chrzest) i t. d., tak wymawiając się przez się jako zgłoska świata toż c, ch, chr, chrz, chrzą, chrząs i t. d. wiedzieć siebie nie może, bo nie ma co wiedzieć, bo nie wie dokąd zmierza. Zwróciłby może kto uwagę na to, że chrząs, chrząsz, chrząszc już nieomal niechybnie do chrząszcz, a więc w porównaniu do człowieka prowadzi. Aleć uwaga ta nie zbija wcale jeszcze myśli mojéj. Czyż orangutang nie zbliża się do człowieka, a czyż nim jest? Kretynom dolin Helweckich, Piemontskich i Salzburgskich, Etyopom z małpią ich jeszcze twarzą, zwierzęcego wejrzenia, pominąwszy dalsze odcienia, jakież nadać stanowisko?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

*) Umyślnie wybrałem wyraz chrząszcz, bo on z jednozgłoskowych wyrazów najwięcéj zgłosek zawiera i dla tego najwidoczniéj pokazuje, że i człowiek (którego podobieństwo do Boga w rozprawie téj się wykaże) potrafi wiele zgłosek, swoich zatém właściwych utworów, łączyć w jeden tylko wyraz. Za wyrazem zaś jednozgłoskowym byłem dla tego, bo w mowie ludzkiéj wszystkie nieomal pierwotne wyrazy są jednozgłoskowemi. A w reszcie nieobojętną będzie i ta uwaga, że tylko w językach sławiańskich, a pomiędzy temi w języku właśnie polskim najwięcéj jest zgłosek w alfabecie, i najwięcéj ich się zlewać może w jedno brzmienie; że język polski nie nawidzi wyrazów złożonych z wyrazów, jak deszczochron, drobnowidz, piórnóż i t. d., mających jeden tylko obraz wystawiać; jakby czuł, iż nie dość jeszcze ma wyrazów pierwotnych, przez którychby kombinacye mógł kiedyś wiedzę nieskończonego świata mową swoją wyrazić. Z tego punktu wychodząc, możnaby wytłómaczyć zniknienie Greków i Rzymian, których mnóstwo wyrazów wszystkie następne pokolenia bez żółci, często i nader wiele razy z konieczności, do języka swojego wcielają. Język polski wciela mimowolnie już dziś germanizmy i gallicyzmy. Czemuż nie przeciwnie? bo one wstręt mają przed tamtym, jako mającym je kiedyś zupełnie pochłonąć. Rzecz tę zostawmy jednak filologom!

**) Przechodząc historyą naturalną wedlug systemów naturalnych, łącznie z anatomią porównawczą i fizyologią, przejścia te stopniowe nie tylko całych królestw w siebie, ale nadto familii w familie i rodzaje, tych w wyższe rodzaje i klassy, klass następnie w królewstwa, tworzące tym sposobem jeden ciągły łańcuch, a nakoniec ich wszystkich w człowieka, są już dziś nader uderzające. Dla tego Egipcyanie, czując to, w wędrówkę duszy wierzyli.

*) Im bliższy człowieka utwór ziemski, im więcéj témsamém własności w sobie zawiera, im zawilszy innemi słowy do poznania; tém ciągléj poczyna się i ginie. Ztąd ciała martwe żółwim tylko krokiem zmieniają się; ztąd roślinnych nasion zapłodnienia dopiero w ich kwiecie, dla tego u zwierząt czas tylko pewien w roku chuci płciowéj, któremu człowiek wcale nie podlega.

**) W jakiém znaczeniu wyraz ten samowiedz (sam wie siebie) biorę i dla czego, wykaże się następnie; tu powiem tylko, iż to, co zwykle samowiedzą (Selbstbewußtsein) nazywają, przez wiedzę samowiedzy (poznanie siebie) wyrażą. Za czuciem nie byłem tu dla tego, bo ono poprzedzoném koniecznie być musi przez to, co się czuje, to jest tu przez ową samowiedz, o któréj mowa. (O czém słów kilka jeszcze na inném miejscu.)

Posiedzenie Bacciarellego malarza.

(Dalszy ciąg.)

»Jakto! co chcecie? cóż powie na to monarchini moja?« były pierwsze słowa królewskie, co drżące gro-

zą, czy bojaźnią przybiegły do nas i przylgły całą mocą odtętnionego głosu. — »Co powie?« odparł gruby głos tamtego, »niechaj co chce powie! niechaj zagada do nas kilkunastu tysiącami bagnetów, my jéj tysiącém piersi odpowiemy! Monarchini wasza, nie nasza. Królu! raczéj ci pytać, co powie naród sierota? co powie lud przemożny? co powie kościół matka? co powie kraj ojciec? — O! to, co ona powie, my to już dawno słyszeli, i nie dawno na grodzieńskim sejmie i teraz wiemy, jak w radzie twojéj, miłościwy panie, błąka się jéj cień w niejednéj podmówionéj piersi! By tak gadać i chcieć, jak ona, trzeba nią zostać, jéj służyć; by tak gadać, jak my, by tak chcieć, jak my — trzeba chęć swą przyżenić do życzeń ogółu, trza ręki, głowy; rękę wyprężyć aże do Litwy, głowę podnieść w wysokość tronu!...« — »Lub w wysokość rusztowania!« przerwał cierpki głos króla. — »Choćby!« ciągnął śmiało Hugo, »choćby los i tam kazał wznieść głowę! to lepiéj czynem spotkać oko w oko miecz kata, jak spuścić głowę w kotary, jak zamajaczyć trucizną i położyć się na pościel śmierci obok z przyżenioną hańbą! — królu mój, patrz tam!...« — »Dość, dość, podkanclerzy! szanujcie brata mego, mnie króla szanujcie!« — »Królu, nas w sobie uszanuj! oni moim błagają językiem, oni memi łzami płaczą, oni moją piersi modlą! — Dwie wielkie bramy roztoczone przed tobą! jedna z północy wabi na północ, głaszcze i straszy, wyciąga ramiona niby siostra do kraju, niby kochanka do ciebie. Ni siostra, ni kochanka z niéj, złota i pereł ma huk; my się nie kochamy w złocie, my się nie stroimy w cudze! Nasz Zygmunt stary całował ją już, aż stracił dwie koron z głowy! — A teraz, miłościwy panie, my ci drugą otwieramy bramę, ona do właści naszéj wjedzie, a twój cię, nie inny wabi lud! dać ci chce miłość miasto złota, miasto pereł piersi swe, w okół cię spasze, że do cię nikt nie przejrzy, że cię nikt nie sięgnie z łona mu prócz Boga!« — »Prócz zguby! bo na co mnie namawiasz, Hugonie? kraj tak słaby, brak mu wszystkiego: wojska, skarbu, zbroi, pomocy, pieniędzy, ludzi!« — »Nie! jemu brak tylko ciebie, najjaśniejszy panie! — kraj nasz, jak piękna kobieta, obsłania swe wdzięki, zatula bijące łono, i oczom nie daje mówić o mocy, jaka w niéj gore! i nie poznawszy można o niéj rzec, jak wy w téj chwili, najjaśniejszy panie! że ona słaba, brak jéj wszystkiego, skarbów, mocy, sposobów; ale niechaj no przyjdzie miłości pora! Moc jéj tryśnie z piersi dziewiczych, wdzięki rozgorą, skarb znajdzie w dzieciach swych, w ramieniu zakipi siła, i wielkich, wielkich chyba trzebaby podstępów, aby jéj wydrzeć ulubieńca! O! bądź nim, najjaśniejszy panie! bądź nim od dzisiaj, na zawsze! albo...«

Tu nie dochodziły nas słowa; szmer jakby innéj wplątywanéj mowy, zda się Mejera szeptanie, przerwało ten ostatni wyraz, co w kształt piorunu bił przez ścianę i tylko słychać, jak chrzęszczy kotara, bita mocną prawicą Hugona; a po głosie Mejera, czy przy łożu, czy jakoś z samego łoża umarłego wyrwał się straszny grobowy krzyk: »Ratuj się!« — Zadrzeliśmy, szmer ustał, głos ustał, skrzypienie bótów królewskich oznaczało przechodzenie się gwałtowne króla; stawał, znów chodził, wtém jedną razą dobitniejszym wyrazem jak dotąd, jakby w nim cała odezwała się burza: »Ha!.... cóż mam robić« odezwał się, »z wami!....« — Na ten wykrzyk Lully podniosła się z krzesła, z iskrzącém okiem, zaperzoną twarzą, z zaciśnioną dłonią posunęła ku Grabowskiéj. Tak czołga po trawie wiatr jesienny, nim się zerwie i rzuci na drzewo poobdzierać liście pożółkłe. Dwie władze, którémi dotąd Lully przeważnie wychodziła z walki, opadły jedną razą odbite podstępnym tym krokiem Grabowskiéj; oręż miłośnicy i polityczki zadrzémał w jéj dłoni francuzkiéj, i wykradziono jéj monarchę w kochanku. Kto wie, czy w téj chwili zerwania się z krzesła pierwsza myśl jéj nie była za samym kochankiem? bo giest jéj i ból był więcéj kobiecy, bo popatrzyła w Grabowską okiem dwudziestoletniéj dziewicy, co to szuka zmarszczków, różu, bielidła, na licach rywalki, i potém śmiechem gorzkim wyzywa, mówiąc: »A teraz patrz we mnie!«

Ale u Grabowskiéj całe zapomnienie, całą uwagę zajął krok stanowczy, krok polityczny, tryumf swój zapisywała nie na karcie serca, ale na karcie historyi, i prostowała swą kibić wydatną, mocną, okazałą, jak szermierz stojący w szranki, co na swą krępość rachuje. Pierwszy raz zapaśniczki nie zrozumiały się w natarciu; i gdy młodość trzpiotowata wyzywała podżyte Grabowskiéj wdzięki, polityczna intrygantka znalazła szydzący śmiech, którym za swój róż i marszczki oddała. Osłupiała Lully pewnością i spokojnością twarzy rywalki zwątpiła o sobie i rozpłakała jak dziecię. Wtedy po małém naszém zgromadzeniu przebiegło uroczyste rozradowane Grabowskiéj oko; schyliliśmy głowy ku niéj, jak domyślni dworacy, a jéj skinienie zalotne i protekcyjne zdało się mówić: „Teraz wiecie, kto z nas dwojga panuje!«

A w okół sali jakże się zmieniła gra twarzy obecnych! — Cześnik Dzieduszycki ściskał mi rękę, jakbym mu jaką wyrządził posługę; jasność uradowania wypełniła zwyczajne kątowe sklęśnięcia jego oblicza, śniade policzki przeleciał brzask rumienny, oczyma spoczął na Grabowskiéj. Strzembosz z jednéj nogi na drugą się sadził, i przytupywał i kręcił, widać, jak mu

w téj chwili ciężał obowiązek szambelańskiéj służby, bo jużby z dobrą i ciepłą nowinką obleciał pół Warszawy. Nawet roztrzepane paziów grono przestało swoje utarczki na migi, i rozgorzało twarzą; rzekłbyś, że te pączki poczuły dobrą ziemię pod sobą i czerwienieją przeczuciem przyszłego życia.

Wtém nowy turkot powozu, prędki, gwałtowny, obrócił nasze oczy ku drzwiom sali w chwili, gdy przez nie posunęła Lully, jakby uciekająca. Ciekawość, kto przyjechał, długo zatrzymaną była, albowiem po wyjściu Lully nikt nie wchodził, ani też turkot nowy nie zapowiadał, iżby ona odjechała. Młodość, co nie tak prędko może znieść niepewność, podawała paziowi ochotę odemknąć drzwi do przedpokoju, by od niechcenia zajrzeć, gdy wtém drzwi gabinetu Prymasa skrzypnęły i ksiądz Mejer prosił nas i panią Grabowską do króla.

Wracam z innémi, ja do mego płótna z zimną malarską obojętnością odwilżam pędzle i farby naciskam. Król we framudze okna pobladły, zmięty nachylił głowę ku ramieniu, jakby się zmęczył, że ją długo wprost wielkim planom i myślom Hugona nadstawiał; a Grabowska, jak witająca z podróży, jak gwiazda obiecująca pogodę rozjaśnione swe lica mili ku królowi. Stanisław zdał się postrzegać tę nową radość we wszystkich twarzach wchodzących, i widział, i zdał się to nie rad widzieć. — Słabość charakteru ma u siebie to niechętne wyjawienie, że się dała na coś stanowczego namówić, jakby niepewna, czy dobrze zrobiła, jakby trwożliwa, by więcéj świadków nie miała przeciw sobie, gdy nie dotrzyma przyrzeczeń. Jednak konieczność choć półzwierzenia się była królowi potrzebną; więc posunął ku pani Grabowskiéj i łzawym głosem, jednak dość wyraźnie, aby był od wszystkich słyszany, powiedział: »Patrzaj pani! ręka braterska to mi ostatnie dała pożegnanie; z myślą o mnie umarł i z wielką przestrogą!« — »Przestrogą?« zagabała ciekawie Grabowska, chwiejącą ręką biorąc podane jéj pismo. — »To minęło; niebezpieczeństwa nie ma, gdy jest o niém wiadomość.« — »Raczéj gdy jest pewność, że niebezpieczeństwo podzielaném będzie przez wszystkich,« odparł Hugo dobitnie. »Stronnictwo zginie, gdy będzie całość; a całość przeciw swéj głowie nie podniesie miecza.« — »Strzeż się i ratuj!« czytała niby z cicha Grabowska. — Król stał i słuchał, jakby nowémi dla niego były te słowa, choć je nie dziesięć razy na téj kartce przerzucał, i powtórzył w zamyśleniu: »Strzeż się i ratuj!« a potém wolnym i słodszym głosem doczytywał z pamięci: »W tak wielkiéj burzy lepiéjby ci było, mój Stasiu, moją śmiercią było zakończyć!« »Prawda! o prawda!« zagadał ciszéj, i gdy ku łożu zatoczył okiem na brata: »On już tak spokojny, panowie!« — A Hugo ponuro szepnął na stronie królewskiéj: »O! bo się umierać odważył!«

Jeszcze nie dościgła Grabowska wrócić królowi przeglądane pismo, Stanisław jeszcze w braterskich łzach tonął, gdy chód prędki i szelest kobiecego stroju dał się słyszeć tuż przy drzwiach alkowy; począém zwinnym krokiem wbiegł do komnaty hetman Ożarowski, prowadząc Lully pod rękę; ale Lully odmienna, nie owa upokorzona rywalka, nie owe kwilące dziecię, ale całe dziecko, które teraz tak łacno uśmiech i radość odzyskało, jak przed chwilą nagle zapłakało oczęta. Po kole naszém przeszła ciekawość, więcéj obawa; stronnictwa wystąpiły widomie, i jakby dały sobie spotkanie przy łożu śmierci, Lully, Grabowska, dwie lampy; Ożarowski i Hugo dwie dusze, dwa ognie tych lamp. — Znałeś Ożarowskiego, mój sędzio? — tę figurkę suchą a krótką, tę chorowitą ruchliwość w małém ciele, te zielone oczy z żółtemi kropkami po sobie, co przypominały bajkę o stuocznym Argusie, te podrzucania się ramionami w chodzie, i podczas mowy pchli ruch do skoku, i ów wyżyłowany skład twarzy człowieka, co się nażył w rozpuście? Wszystko to razem weszło z nim do alkowy, ubrane zwyczajnym śmiechem, co potém w złéj dla niego chwili wszedł u ludu w przysłowie. Ubiór jego kusy i obwisły mimo całéj staranności krawca, aby te zwiędłe wypchać stworzenie, dziwnie latał na ruchliwéj postaci hetmana. Frak z aksamitu, poważnym krojem, szerokiémi połami tałował się po cieńkich nóżkach w jedwabne pończochy strojnych, i skakał po nich, jak brona po roli; a wała szpadka u boku z porcelanową rękojeścią: za każdém zgięciem Ożarowskiego czepiała się jego kamizoli niemieckim krojem wyciętéj w pośrodku, z ogromnémi klapami nieco na spodnie opuszczonémi. — Hałaśnemi ukłonami zbudził uwagę królewską, obecnym nie skłonił, ku pani Grabowskiéj pochylił się, jakby do ukłonu, i gdy ta zwyczajem dworskim, niskiém dygnięciem oddawała mu zaczęty ukłon, on nagle sprostował się, niby się schylił tylko rękojeść wiszącéj szpady poprawić, obrócił się tyłem ku niéj i plecami między nią a królem stanął. Mimo całéj powagi smutku ten złośliwy żart tak był śmiesznym, że Lully nastąpiła sobie nóżką na nóżkę, aby bólem stłumić huczny wybuch swéj wesołości. Grabowska mało ze złości nie pękła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Pawła Józefa Szafarzyka
STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKIE,
z czeskiego języka przetłumaczył
H. N. Bońkowski.

Tłomaczenia tego, na które już w Lipcu 1840. r. ogłoszoną była przedpłata, wyszły w drukarni W. Stefańskiego w Poznaniu pierwsze dwa arkusze, które nam przez wydawcę łaskawie udzielonémi zostały. Dzieło to w oryginale zaczęło wychodzić w Pradze od 1836. r., i zawiera dopiero część dziejową, to jest historyą słowiańskich narodów od czasów Herodota w piątym wieku przed Chrystusem, aż do końca dziesiątego wieku, kiedy już chrześciaństwo w południowéj i zachodniéj słowiańszczyznie przemogło. Druga część starożytności słowiańskich, mająca obejmować publiczne i domowe życie Słowian, ich religią, język i oświatę, nie wyszła jeszcze z druku. Część dziejowa rozkłada się na dwa okresy, których granicą jest upadek państwa rzymskiego na zachodzie. Treść onychże podaje nam tłómacz następującą: Początek Słowian: ich miejsce w rzędzie ludzkich plemion i szczepów. Stałobyłość Słowian: Windowie, Serbowie. Siedliska i dzieje dawnych Słowian: najstarsze świadectwa o Wendach i Serbach. O Słowianach nad Dunajem i Wenetach nad Adryatykiem. Przegląd szczepów z Windami czyli Słowianami sąsiadujących: narody szczepu scytyckiego, czudskiego. Odnogi uralskich Czudów. Spalowie, Skamarowie, Hunowie, Sabirowie. Narody szczepu sarmackiego, celtyckiego, niemieckiego, litewskiego, trackiego. Ziemopisny przegląd praojczyzny Słowian: góry, rzeki, jeziora i materyalne starzyzny w ziemi Prasłowian Przegląd dziejów porządkiem lat. Skazownik imion własnych w dziele wspomnianych. — Dzieje i szerzenie się Słowian w drugim okresie: wiadomość o Windach, Antach, Słowianach. Rozdzielenie się Słowian na główne narody. O Słowianach ruskich, bulgarskich, serbskich, chorwackich, korutańskich, polskich, czeskich, o Morawianach i Słowakach, o Słowianach nadelbiańskich. Wyliczenie narodów i gałęzi słowiańskich. Skazownik imion własnych.

Tyle, co do treści, obejmuje pierwszy tom dzieła p. Szafarzyka (stronnic 1015), które pracą p. Bońkowskiego wychodzi dziś w tłómaczeniu polskiém. Zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić się i nad ważnością dzieła, które zostanie na zawsze chlubą literatury czeskiéj, i nad ustaloną już oddawna sławą autora, łączącego z rozległą naukowością i oczytaniem, rzadką bystrość i przenikliwość, którą odgadywa przeszłość, i czyta w jéj dziejach zamierzchłych. Te zalety oryginału wywołały i u innych niesłowiańskich narodów chęć przyswojenia go przez tłómaczenia swoim literaturom. U nas wywołuje ją krom nauki, jeszcze pobratymczy interes. Słowianie to praojcowie nasi, a ziemie rozległe od Laby do Europy krańców wschodnich, od Bałtyku do morza adryatyckiego i czarnego, to była ich ojczyzna, którą dzierzyli nie jako przybysze i wdzierce, ale jako prastary szczep od przedhistorycznéj doby. Jak dziatwa jednego ojca, igrzyskiem losu od pierwszych zaraz dni niemowlęcego życia w świat rozegnana, gdy podrośnie, nie zna, ani siebie nawzajem, ani zna rodziców swoich, w takiém zobojętnieniu żyły względem siebie pobratymcze Słowian pokolenia, i wieki całe tak mijały nad niemi i rodzeństwo ludów nie wiedziało o sobie. Dopiero kiedy na nie nieszczęścia zstąpiły, kiedy się ujrzały bez domu i dobytku, osierocone zatęskniły do wspólnéj matki, wybiegły na rozległy cmętarz przeszłości i szukały i odgrzebywały pomniki, pod któremi złożone były jéj kości. Na téj drodze spotkały się z sobą i poznały rodzonémi dziećmi. Nad grobem matki takie spotkanie się i poznanie się musiało być czułe i uroczyste, musiało być błogie w nadzieje i przyszłość. Wspólnémi siłami dogrzebują się reszty po niéj pamiątek, które czas zachował, i zebrali już więcéj niżeli się spodziewali. Po śladach zaszłych kopców odkryli dawną jéj dziedzinę, z pojedyńczych znamion złożyli rysy jéj twarzy, doszli z podsłuchów, jaka była wielkość jéj polityczna, jakie cnoty domowe. I radują się dzisiejsze pokolenia, że każde ma jakieś podobieństwo do matki, że z przymiotów jéj duszy wzięło coś każde w puściznie! Któżby tu rozumiał, że pracownicy około tak świętego dzieła miłości rodzinnéj, najemnikami tylko są nikczemnego interesu? A przecie są, co tak rozumieją. Być może, że do niepokalanéj sprawy obłuda innych się wiąże, bo obrachowany interes wszystkiego się czepia. Ale jako para tchnięta na połysk stali w mig niknie, tak niknie krótkowidzący interes człowieka, uczepiony na wielkiéj i świetnéj kolei ducha czasu. Jak olbrzymie jest ciało Słowiańszczyzny w przeszłości, tak olbrzymia jéj przyszłość, któréj drobne obrachunki ludzkie ani zaszkodzą ani ją wstecz cofną.

W interesie zatém Słowiańszczyzny uważamy dokonane spolszczenie dzieł tak potężnego pracownika, jak Szafarzyk, i winniśmy tłómaczowi wdzięczność, że je milionom pobratymców w ich narzeczu przystępnémi uczynił.

Prawda że język polski do czeskiego największe ma podobieństwo, że z zaprowadzeniem Chrześciaństwa może się nawet na czeskim kształcił, jak to coraz większe spolszczanie się pieśni Boga rodzica dziewica okazuje, że zatém z tego względu i w ogólności lepiéj jest uprawiać język nasz na narzeczu pobratymczém, niżeli na obcém; atoli tłumacz na to bacznym być powinien, aby to, co w czeskim języku nie jest czeskiego, ale co jest germanizmem, do polskiego nie przyswajał. Czechy więcéj daleko niżeli Polacy ulegli wpływowi Niemców, i do ich języka zokradły się i zagęściły zwroty zupełnie niemieckie. Z przytoczonego poniżéj ustępu przekona się czytelnik, że tok mianowicie więcéj złożonych okresów nie jest polski, można zdanie po zdaniu na niemieckie tłomaczyć i będzie dobra niemczyzna. Wyrażenia: wszystkie (dzieła) w ogólności, daleko za wzniosłością przedmiotu swojego i za potrzebami wieku naszego w tyle pozostają, tudzież: niebiegłość w języku słowiańskim podług wszystkich jego narzeczy i t. d. są zwroty niemieckie hinter einer Sache zurückbleiben, die Unkenntniß einer Sprache nach allen ihren Dialekten duchowi języka polskiego całkiém obce.

Prawda i to, że po co głowę sobie smażyć, na kucie dziwacznych wyrazów, kiedy co dobrego można z pobratymczych narzeczy przyswoić: ale z drugiéj strony nie widzimy też potrzeby, kiedy już istnieją dobre wyrazy polskie, inne na ich miejsce zaprowadzać. I tak tłómacz wciąż mówi o dzieinach o dziejach, chociaż używa dziejopisze nie dziejinopisze. Natomiast natrafiamy na kilka wyrazów czeskich, któremiby dogodnie cudzoziemskie u nas zastąpić można, n. p. powódzca (autor), listyny (akta), doba (epoka) i t. p.

Jako próbkę tłómaczenia pana Bońkowskiego dajemy w końcu następujący ustęp.

§ 1. *Początek i cel dzieła.*

»O pierwiastkach i starożytnościach Słowian, narodu prastarego, wielkiego, w dzieinach Europy sławnego, niemało zwłaszcza w nowszych czasach, równie krajowcy, jak cudzoziemcy, badali i pisali, tak dalece, że gdybyśmy chcieli przeglądać tylko mnogość i obszerność pism w téj części historyi naszéj wydanych, równie jak sławę i znamienitość ich powódców (autorów), każde nowe przetrząsanie tego przedmiotu, zdałoby nam się, jeśli nie zbyteczne, to zaśmiałe. A jednakże przejrzawszy pilną uwagą, te tak okwite i liczne dzieła, i oceniwszy je co do ich treści i zalety umysłem nieuprzedzonym wyznać musimy, że wszystkie w ogólności, daleko za wzniosłością przedmiotu swojego i za potrzebami wieku naszego w tyle pozostają, i że, bądź dla niedowodności i miałkości swojéj, żadnéj wartości nie mają; bądź, że bardzo mało światła i tylko cząstkowo na przedmiot swój rzucają, mogąc najwięcéj posłużyć tylko, jako niejakie pomoce i przyprawy do zupełniejszego i doskonalszego dzieła o starożytnościach słowiańskich, na jakiém nam aż po dziś dzień zbywa. Niebiegłość w języku słowiańskim, podług wszystkich jego narzeczy i przemian w biegu czasu zaszłych, nieznajomość charakteru, obyczajów, zwyczajów, domowego

żywota i wewnętrznych zdarzeń tego narodu; tudzież powiedzmy bez ogródki jakaś zastarzała nieprzyjaźń i niechęć ku Słowiańskiemu, które mimowolnie wiodą do stronności, były przyczyną, że żaden z cudzoziemców piszących o starożytnościach naszych, choć się pod innym względem bystrością odznaczają, nie dotąd doskonałego w tym oddziale dziein na świat nie wydał. Wreszcie, u naszych ojczystych pisarzów, nauka dziejopisna, ten późniak wiedz ludzkich, dopiero niedawno przez rozbiór i krytycznego ducha wznosić się poczęła, brak wszechstronnéj uczoności, a szczególniéj gruntownéj znajomości starożytnych i nowszych języków, tudzież zdrowéj krytyki, u niektórych zaś, zupełny niedostatek tego obojga, to jest równie rzeczowéj i dziejowéj, jak językowéj uczoności, przytém nieśmiałość przystąpienia do rzeczy, a może i wątpliwość o możności doprowadzenia jéj do skutku, były tak licznémi przeszkodami, że badania na obszernéj niwie starożytności naszych, dotąd jeszcze żadnego dośpiałego owocu nie wydały. Mając przed oczami takie poprzedników naszych przykłady, i zastanawiając się już to nad tym tak małym wypadkiem tylu, tak wielkich, tak usilnych przeszłych starań, jużto rozważając saméj rzeczy oschłość i zawiłość, tudzież naszę przy wszelkiéj usilności niedostateczność; długośmy namyślali się, czyli mamy ten znakomity poczet dawniejszych pism o starożytnościach słowiańskich, tém nowém dziełem naszém pomnożyć, czyli raczéj przedsięwzięcia naszego zupełnie zaniechać, a słabe siły nasze, na inne plodonośniejsze i pożyteczniejsze przedmioty obrócić. Ale przyrodzona miłość do lubéj narodowości naszéj, skłonność do ojczystego dziejopisu (historyi) i do badań językowych w ogólności, wrząca żądza, wszechstronném zgłębieniem i krytycznem wyłożeniem starożytności naszych wydobycia z niegodnego zaniedbania początku i wzrostu narodu naszego, tudzież wyjaśnienia, o ile można, najdawniejszych czasów żywota i dziein jego, nie mniéj, jak usilna kilku uprzejmych przyjaciół naszych przynuka, przywiodły nas wreszcie do tego, abyśmy, przezwyciężywszy wszelkie wahania i niepewności, jęli się do wystawienia treści porządnéj, do przejrzenia łatwéj tego wszystkiego, cośmy po długoletniém zbieraniu i badaniu o starożytnościach słowiańskich wyszukali. W rzeczy saméj, każdego człowieka, który się pierwotnego hartu i surowości pozbył, wre serce nieukojoną tęsknotą za wiarogodnémi wiadomościami o miłych przodkach jego, ale ta tęsknota jeszcze więcéj dotyka uczonego, wiodącego żywot swój w badaniach naukowych, mających bliski związek z narodowością jego, jakiémi są poszukiwania w dziejach narodowych i językosłowiu. Póki więc miłowników języka i narodu naszego między nami stawać będzie, póty, nie można o tém wątpić, najdować się będą między nami i przyjaciele i piastunowie podobnych badań, mających za przedmiot początek i wzrost sławnego narodu naszego i jego starożytności. Niech więc tymczasem, póki coś doskonalszego w obrębie dawniejszego dziejopisu u nas się nie pojawi, posłuży niniejsze dzieło do zapełnienia znamienitéj próżni w tym oddziale nauk; ma ono za cel zwięzłe wystawienie tego wszystkiego, co z wiarogodnych źródeł po pilnym i krytycznym rozbiorze, o początku, pierwotnych siedliskach, rozgałęzieniu, dziejach, charakterze, sposobie życia, o religii, rządzie, języku, piśmie, tudzież o umiejętnościach pranarodu słowiańskiego, bądź inni, bądź my sami w tych nowszych czasach wyśledzili i za prawe uznali, aby przez to, jeśli można, starożytności nasze z kału niepamięci i zamętu wyrwane, przedmiotem poszanowania, jak wszystkich miłośników dziejopisu w ogólności, tak zwłaszcza naszych ojczyzników stać się mogły.

§. 2. *Objętość i podział.*

Zupełne skreślenie starożytności słowiańskich ma w sobie zawierać między innémi wyśledzenie początku tego narodu, najstarszych jego dziejów, tak zewnętrznych, jako i wewnętrznych, poczynając od najdawniejszych czasów, w których tylko można bytność Słowian wyśledzić, aż do téj doby, w któréj własne, prawdziwe dzieje każdéj odnogi się zaczynają. Cały ten długi przeciąg czasu na dwie mniejsze połowice rozdzielić należy, z których pierwsza obejmuje najdawniejsze, a więc pierwotne czasy dziejowe narodu słowiańskiego, z jednéj strony w górę, aż do głębokiéj starobyłości, mianowicie do wieku Herodota (456 przed Chr.) sięgając; a z drugiéj strony spuszczające się dolem, aż do drugiéj połowy 5go stulecia, mianowicie do zupełnego upadku państwa huńskiego i rzymskiego (469. i 476.) Druga zaś opowiada dzieiny i koleje Słowiaństwa od końca 5go aż do końca 10go stulecia, czyli do przewagi chrześciaństwa u głównych narodów słowiańskich. Przedmiotem i celem pierwszego okresu jest wyśledzenie początku, siedlisk i dziejów Słowian, w czasach, kiedy oni jeszcze pod tém swojém własném imieniem w europejskich dziejach powszechnie znani nie byli, ale ukryci pod innémi rozlicznémi imionami pośród innych prastarych szczepów europejskich bytowali; drugi okres obejmuje w sobie wiadomość o narodzie słowiańskim w dobie, kiedy on się na polu dziein pod tém swojém własném, nowszém, od pisarzów obcych i ojczystych powszechnie przyjętém imieniem pojawił. Ztąd też pierwsza i dawniejsza doba zawsze a przynajmniéj poniekąd i poczęści jest zagadkowa i nieprawdziwa; druga zaś odgadnioną, prawdziwą zwać się może. W tamtéj badacze starożytności słowiańskich w zdaniach swoich są podzieleni, inni inne do rodziny słowiańskiéj przyłączają narody, niektórzy zaś bytność Słowian w tym czasie, a tém samém i ich dzieje, acz dość nierozsądnie, poprostu zaprzeczają; w téj zaś mówi się o starożytnościach Słowian, które żadnemu więcéj nie ulegają zarzutowi. Podział ten na podstawie rzeczy saméj oparty, tę w sobie ma dogodność, iż rzeczy prawdziwe z nieprawdziwémi razem się nie mięszają, a jeśli nawet niektóre wiadomości, domniemania i domysły w pierwszym oddziale w tak długim przeciągu czasu, za pomocą ostrzejszéj krytyki i nowszych odkryć, bądź z gruntu poruszone, bądź zupełnie obalone zostały, za to też prawdziwość wiadomości w drugim oddziale poddanych, całe się nie wywraca, ale owszém w całéj swojéj zupełności zostaje. Ten drugi oddział powinienby w saméj rzeczy właściwie sięgać tylko do ostatniéj połowy 7go stulecia, czyli do końca wędrówki Słowian, do ich nowych siedlisk, ale, ponieważ dzieje narodów słowiańskich, choć już na końcu tego 7go stulecia wszędy stale osiadłych, ciągle przecież aż do 10go wieku w wielu względach są ciemne i zbyt skrócone, a oprócz tego wytrwanie głównych narodów słowiańskich przy wierze pogańskiéj i starobyłych swoich zwyczajach, tudzież ich późniejsze dopiero w 9tém i 10tém stuleciu przypadające ostateczne nawrócenie się na wiarę chrześciańską, wiek ten co do ducha i charakteru z poprzednim ściśléj, niż z następnym wiąże, przeto zdawało nam się rzeczą stósowną i słuszną, dla zupełniejszego wyłożenia przedmiotu, granice tego drugiego okresu nieco rozszerzyć i aż je na koniec 10go stulecia przenieść, zostawiając jednak sobie do woli, podług potrzeby raz więcéj, drugi raz mniéj ku nim się zbliżać, lub od nich się oddalać. Przy takim to podziale dzieła, co do rozdziału czasu, nie ulega wątpliwości, iż należy całą tę dziejopisną materyą rozróżnić, a to ze względu na rozliczność przedmiotów w niéj objętych, aby tym sposobem, z baczną uwagą i zgłębieniem każdego z nich w szczególności, można było nietylko podać o nich drobniejsze i dokładniejsze wiadomości, ale zarazem i ułatwić miłośnikom podobnego czytania przegląd téj obszernéj, a z rozmaitych cząstek złożonéj całości. Dla tego też i to nasze dzieło na dwie główne części dzielimy, z których każda swój własny okres i przedmiot obejmuje; w pierwszéj początek, siedliska, rozgałęzienie i dzieje; w drugiéj charakter, sposób życia, religią, rząd, język, pismo i nauki starożytnych Słowian przejrzemy i rozbierzemy.« *Libelt.*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*